EPOKA

TYGODNIK

ROK II | Warszawa, 9 lipca 1933 R. | NR. 28 (41)

Ubodzy kapitaliści

Klątwa papieru

Z dziejów masonerji

Twórczość dzieci

„Pod Aniołem“

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy. Najnowsze książki.

AUTORZY: **Muszałówna. Michałowski. Małachowski-Łempicki. Szpecht. Kornacki. Milkiewiczowa. Cękalski.**

R Cena egz. gr. 60

WYDARZENIA I DOKUMENTY

REKORD INGERENCJI

Wśród nawału nowin, nadchodzących z Ameryki, czytelnik prasy codziennej traci często wątek wydarzeń. Dla orjentacji wśród szybkich, a ważnych zarządzeń Roosevelta przytaczamy poniżej bilans pracy ustawodawczej ostatniej sesji Kongresu:

9 marca. Prawo bankowe. Prezydent otrzymuje pełnomocnictwo zamykania i otwierania banków. Część banków wznawia natychmiast wypłaty, a ich depozyty uzyskują gwarancję rządu. „Reconstruction Finance Corporation" wstępuje na drogę częściowej etatyzacji kredytu.

20 marca. — Kongres udziela Prezydentowi pełnomocnictwa zrównoważenia budżetu. Roosevelt redukuje natychmiast pensje miljona urzędników i 400.000 weteranów.

22 marca. — Zalegalizowanie ustawowe sprzedaży piwa o zawartości 3.2% alkoholu.

10 kwietnia. — Uchwalenie programu robót publicznych, zatrudniających „armję pracy". Program obejmuje prace w dolinie Tennessee, budowę 32 okrętów wojennych, dróg, mostów etc... Przyznany został przez Kongres kredyt 500 miljonów dolarów.

18 kwietnia. — Prezydent zawiesza złotą walutę.

3 maja. — Uchwalenie prawa, zawieszającego walutę złota.

W ciągu następnych dni zostaje podjęta akcja zwyżki cen. „Relief Farm Bill" ustanawia szeroko zakrojoną pomoc dla rolnictwa. Prezydent otrzymuje prawo zmniejszenia do połowy złotego pokrycia dolara. Banki federalne zostają uprawnione do emisji 6 miljardów dolarów w banknotach celem wykupu walorów hipotecznych. Zadłużone Stany mogą spłacić zobowiązania, licząc kurs dolara o ⅓ wyższy od jego wartości.

5 maja. — Uchwalenie „Securie Control Bill", ustanawiającego nadzór rządu nad towarzystwami ubezpieczeniowemi.

15 czerwca. — Ustanowienie „Recovery Bill", regulującego rozległy zakres problemów, gdyż obejmuje zarówno wszechstronną reorganizację przemysłu jak i dalszy program robót publicznych oraz zatrudnienia bezrobotnych i t. d. Producenci zostaną przymusowo zgrupowani w zrzeszenia i kartele celem ułatwienia rządowi kontroli nad wytwórczością.

GOŚCINNA FRANCJA

Gdy w Niemczech szaleje nieokiełznany „rasowy" nacjonalizm, Francja pozostaje wierna sobie. Jakby pragnąc podkreślić swą tradycyjną „międzynarodowość" Paryż chętnie przygarnia wszystkich cudzoziemców i demonstruje swą gościnność, nie obawiając się „wynarodowienia".

Dla ilustracji przytaczamy repertuar teatrów paryskich w ostatnich tygodniach:

Opera — „Trystan i Izolda" Wagnera z udziałem wygnanych z Niemiec dyrygenta i śpiewaków, „Opera Comique" — występy operetki wiedeńskiej, „Théâtre des Arts" — komedja angielska, „Ambassadeurs" — komedja amerykańska, „Potiniére" — występy „włoskiego Grocka" — Ettore Petrolini, „Théâtre du Journal" — „Circle" Somerset Maugham, „Châtelet" — opera rosyjska (Szalapin) i rosyjski balet, „Théâtre des Champs Elysées" — „Balet 1933" zespół emigrantów z Niemiec, „Madeleine" — „Nietoperz" Balijewa, w teatrze na Monparnasse — Dostojewski, „Renaissance" — „La maison d'Israel", „Vieux Colombier" — „Żydzi" Czirikowa, „Teatr Sary Bernhard" — komedja żydowska, „Ateliers" — angielska sztuka klasyczna, „Scala" — koncert Włoszki Gabrielli Besanzoni.

I żaden Francuz (nawet z „Action Française") nie protestuje.

ZŁE WSPOMNIENIA

Londyński *Evening Standard* przypomina pierwszy po wojnie zjazd międzynarodowy w Genui przed 11 laty. Jak i dziś w Londynie, omawiano sprawy monetarne, celne, gospodarcze.

Podejmowany w Genui, jako największy polityk, Lloyd George, zmuszony był wkrótce opuścić swój urząd na stałe. Włoski premjer Facta ustąpił swe miejsce Mussolini'emu. Niemiecki delegat Rathenau padł po krótkim czasie z ręki nacjonalistycznych oprawców. Rządząca wówczas we Francji prawica republikańska z Poincaré'm na czele odsunięta została od rządów. Delegat bułgarski — Stambuliński został zamordowany. Poraz pierwszy na terenie międzynarodowym wystąpili naonczas bolszewicy. Ale i ich delegatów spotkał zły los: Cziczerina przymuso dymisjonowano, Joffe popełnił samobójstwo, Rakowski został zesłany, Krasin zmarł, zupełnie rozczarowany polityką Sowietów. I tylko Litwinow „dożył" od Genui do Londynu.

STATUT INDYJ

Już wielokrotnie rząd angielski obiecywał Indjom statut dominjalny. Wyznaczona specjalnie dla tej sprawy komisja z sir John Simonem, jako przewodniczącym została przez Hindusów zbojkotowana z powodu jej wyłącznie brytyjskiego składu i charakteru. Po kampanji Gandhiego i represjach angielkich, zwołana została konferencja Okrągłego Stołu. Udział Mahatmy w drugiej sesji Okrągłego Stołu wróżył pewne pomyślne nadzieje, które zniweczył jednak wkrótce powrót konserwatystów angielskich do władzy rządowej. Gandhiego i głównych członków Konrgesu hinduskiego uwięziono, kraj poddano surowym zarządzeniom wicekróla Indyi.

Równolegle z akcją represyjną kontynuowała Anglja pracę nad przygotowaniem dla Indyj projektu... konstytucji. Ogłoszono go niedawno w „Białej Księdze".

Najważniejszą inowacją projektu jest koncepcja Federacji Panindyjskiej, obejmującej wszystkie księstwa krajowe, oraz właściwe Indje brytyjskie. Obok rządu federalnego przewidziana jest dość rozległa, niemal autonomiczna władza regjonalna poszczególnych części federacji. Przyszły parlament dwuizbowy opiera się na systemie wyborczym, który uwzględnia przedewszystkiem interesy książąt hinduskich.

Dla wicekróla zastrzeżona jest rozległa władza. Pod jego wyłącznem kierownictwem pozostają sprawy polityki zagranicznej, sprawy wyznaniowe oraz

wojskowe. Ustala on budżet wydatków dla tych trzech resortów, oraz dla administracji, czyli „Civil Service". Pozatem może zażądać w każdej chwili kredytów na „cele specjalne", bliżej zresztą w projekcie „Białej Księgi" nieokreślone. Wicekról Indyj pozostaje tedy „dyktatorem budżetu". Posiada też rozległe uprawnienia prawodawcze. Może odwołać lub nawet rozwiązać parlament. Może unieważnić już uchwalone przez ciała ustawodawcze ustawy. Mianuje ministrów.

Pozatem król angielski może unieważnić prawo, które przeszło już przez ustawodawcze instancje regjonalne i federalne oraz uzyskało już nawet aprobatę wicekróla.

Projekt „Białej Księgi" daleki jest jeszcze od obiecywanego statutu dominjalnego.

STATYSTYKA INTELIGENCJI AMERYKAŃSKIEJ

Uczony nowojorski Friderick Osborn, kustosz muzeum Historycznego i sekretarz „Galton Society" przedstawił na dorocznem zebraniu „Amerykańskiego Towarzystwa Eugenicznego" sprawozdanie o „rozmieszczeniu inteligencji wśród poszczególnych Stanów". Dokument nie zawiera żadnych rozważań psychologicznych. Podaje tylko 48 cyfr, po jednej dla każdego Stanu.

Najwyższą inteligencję w świetle cyfr Osborna posiada Stan Waszyngton ze wskaźnikiem +9,03. Mieszkańcy Missisipi okazują się najgłupsi. Figuruje przy nich ujemny wskaźnik —10,92! Między tą skalą cyfr zawarta jest metodyczna klasyfikacja pozostałych Stanów.

Dwadzieścia osiem znajduje się ponad „przeciętną inteligencji", a dwadzieścia jest deficytowych. Osborn skonstruował swe wskaźniki przy pomocy wyliczeń, opartych na cyrach, dostarczonych przez szkoły (rezultaty egzaminów), przez administrację (odsetek analfabetów), przez wojsko (badania rekrutów) oraz uwzględniając liczbę abonentów prasy codziennej i perjodycznej oraz nakłady wydawnicze. Te dane posłużyły Osbornowi za podstawę do cyfrowej oceny poziomu inteligencji Stanów Zjednoczonych.

Katastrofalne wyniki otrzymał Osborn w rejonach rolniczych. Wskazuje to według niego na wędrówkę „inteligencji" ku zachodowi.

Południe ze Stanami Karolina, Alabama, Missisipi, Luizjana, Arkansas, Oklahoma, Tennessee i t. d. — posiada same ujemne wskaźniki.

Natomiast „ocalały" Stany, które posiadają duże ośrodki miejskie. New-Jork (+3,51) jest w klasyfikacji trzynasty, a Illinois (+2,61) dwudziesty drugi. Rekord „głupoty" bije południowa Luizjana (—10,90) i Missisipi (—10,92).

W sprawozdaniu zwraca Osborn uwagę, że „inteligencja" znajduje się w odwrotnej zależności od liczby urodzeń, która spada w miastach, a rośnie na wsi.

Typowo amerykańska klasyfikacja Osborna wymagałaby — dla uzyskania wagi dokumentu statystycznego — dowodu, nieprzeprowadzonego niestety przez autora, że dane potraktowane jako „wskaźnik procentowy kultury" mają rzeczywiście jakiś bliższy związek z istotną inteligencją.

UBODZY KAPITALIŚCI

Świat pracy zgodny jest w ocenie dzisiejszej katastrofy ekonomicznej. Polega ona jego zdaniem na niedokonsumcji, na fatalnie obniżonej zdolności nabywczej szerokich mas. Wszystko, co tę zdolność nabywczą nadal obniża, automatycznie wpływa na pogarszanie sytuacji, rozszerza zasięg błędnego koła kryzysu. Znamy już przecież na pamięć te kryzysowe nuty: jeszcze zniżka płac, jeszcze przecież mniejsza konsumcja, jeszcze więcej bankructw rzeczywistych i sztucznych, jeszcze parę setek tysięcy bezrobotnych.

Wszystkie państwa przemysłowe prowadzą walki ekonomiczne o zdobycie zagranicznych rynków zbytu, ceny dla nabywców zagranicznych spadają na łeb na szyję, a o własnym rynku mówi się — że jest nasycony, choć w istocie — bynajmniej niepodejrzane osobniki popełniają samobójstwa z głodu, a krańcowa nędza staje się codziennym towarzyszem miljonów.

Zmniejszenie zdolności nabywczej szerokich sfer społeczeństwa nastąpiło w stopniu katastrofalnym dopiero w momencie zaistnienia kryzysu i dalej — w okresie jego rozwoju. Ale względne *zmniejszanie tej zdolności odbywało się jeszcze przed kryzysem*, w okresie tak zwanej — pomyślności gospodarczej. Cyfry, jakie prezentuje nam z tego okresu statystyka światowa, informują nas i zarazem przekonywują, że — środki nabywcze skupiały się daleko szybciej w rękach kapitalistów, niż — przenikały do szerokich rzesz, żyjących z pracy rąk własnych. Lata powojenne, przedkryzysowe, przyniosły nam dalszy etap kapitalizacji świata, wzrastające gromadzenie kapitałów w rękach garstki potentatów przemysłu i banków.

Oto dane o koncentracji kapitałów we Francji. W przemyśle węglowym w roku 1922 osiemnaście firm reprezentowało kapitał 1.407 miljonów franków. W siedem lat później, w roku 1929, kapitały tych samych firm wzrosły o 268 miljonów franków. W ciągu tych samych siedmiu lat osiągnięte zyski urosły do potężnej kwoty dwóch miljardów siedmiuset siedemdziesięciu pięciu miljonów.

Przemysł włókienniczy francuski reprezentował w roku 1922 kapitał wysokości 552 miljonów. W roku 1929 kapitał urasta do kwoty 687 miljonów. Uzyskane w tym okresie zyski dosięgły sumy 916 miljonów, a więc przerosły prawie dwa razy sumę kapitału z roku 1922. W przetwórczym przemyśle metalowym: w roku 1922 dwadzieścia cztery firmy dysponowały kapitałem 915 miljonów. W roku 1929 — kapitał urósł do miljarda 608 miljonów. Zrealizowane w tym okresie zyski — dwa miljardy 28 miljonów.... Przemysł chemiczny: w roku 1922 kapitał 586 miljonów. W roku 1929 — wzrost do miljarda 308 miljonów. Zrealizowane zyski — miljard 594 miljony franków. W przemyśle elektrycznym: w roku 1922 kapitał 1.024 miljonów, w roku 1929 przeszło dwa razy tyle, 2.250 miljonów. Zrealizowane zyski — przeszło dwa miljardy....

Delegat francuskich pracowników umysłowych, p. Chevalme, na niedawnej konferencji pracy w Genewie oświadczył:

„Nie będę podawał cyfr dla całego przemysłu. Ograniczę się do stwierdzenia: 320 akcyjnych towa-

rzystw przemysłowych we Francji dysponowało w roku 1922 kapitałem wysokości 9.395 miljonów franków. Kapitał ten wzmocnił się do roku 1929 znakomicie, urastając do potęgi 15.611 miljonów. Przez siedmioletni okres czasu, dzielący te dwie daty, wymienione firmy francuskie dały czystego dochodu... 21 miljardów 395 miljonów franków...

Przypatrzmy się cyfrom amerykańskim. Trzy osoby posiadały przeszło 172.000 akcyj pewnego towarzystwa akcyjnego. Każda akcja w jednym tylko roku 1930 dała.... 275 dolarów zysku... Cóż to znaczy? Znaczy, że trzy osoby zarobiły w ciągu jednego roku czterdzieści cztery miljony dolarów kosztem pracy... obcinania kuponów od posiadanych akcyj.

W Stanach Zjednoczonych w okresie słynnej ‚prosperity" zyski kapitalistów wzrastały szybciej znacznie, niż płace robocze. Przypatrzmy się paru cyfrom za lata 1922 — 1927. W przemyśle węglowym płace nominalne wzrastały średnio o 2,8% w stosunku rocznym, płace rzeczywiste — o 2,1%, podczas gdy zyski wykazują przeciętne zwiększenie roczne o... 9%, a przyznawane dywidendy — o 6%. W czteroleciu, 1925 — 1929, statystyki oficjalne w Stanach Zjednoczonych wykazują, że podczas kiedy płace w przemyśle włókienniczym wzrosły zaledwie o 5%, to natomiast dywidendy podniosły się o... 86%, a nowe emisje kapitału o 111%.

Wniosek, wysnuwany ze statystyk amerykańskich jest niezwykle frapujący. Okazuje się, że gdyby płace wzrastały w tym samym stosunku co wydajność produkcji, to znaczy o 3,5% w stosunku rocznym i gdyby w tym samym stosunku, nie wyższym, wzrastały zyski akcjonarjuszów, wówczas — robotnicy amerykańscy w okresie siedmiu lat, od 1922 do 1929 roku, , zarobiliby o dwadzieścia miljardów dolarów więcej, a jednocześnie o taką sumę mniej zarobiliby posiadacze akcyj.

Można sobie wyobrazić, czem byłyby dla wzrostu konsumcji, dla dobrobytu szerokich mas owe miljardy, gdyby wpłynęły do kieszeni pracowników.

Ta siła nabywcza uległa dalszemu zmniejszeniu w okresie kryzysu. Zniżki płac, przeprowadzone na całym świecie w dwóch pierwszych latach kryzysu (1930 i 1931 rok) zmniejszyły sumę wypłacanych zarobków robotnikom całego świata o kwotę zgórą trzydziestu miljardów dolarów.... Ma się rozumieć, że tak znakomicie zmniejszona siła nabywcza mas musiała wpłynąć na katastrofalny spadek konsumcji, na groźne pogłębienie kryzysu, na zwiększenie zapasów, które — z powodu niemożności ulokowania ich na jakimkolwiek rynku ziemi, były i są — palone, topione w oceanie, niszczone bezprodukcyjnie i — daremnie. Bo od takich zabiegów kryzys ani myśli się skończyć.

Amerykański profesor i ekonomista, Wiliam Leiserson, obliczył, że w roku 1930 przemysł Stanów Zjednoczonych wypłacił tytułem płac roboczych sumę o 10 miljardów mniejszą, niż w roku 1929. W tym okresie już notowano zniżki płac, a ponadto — znaczne redukcje robotników naskutek wzmożonego maszynizmu w produkcji i rozpoczynającego się kryzysu. *W tym samym 1930 roku,* przemysł Stanów Zjednoczonych — mimo rozpoczynającego się kryzysu — wypłacił tytułem procentów i dywidend od kapitałów sumę o pół miljarda większą, niż w roku poprzednim....

Oto są ubodzy kapitaliści, spychający winę kryzysu na wszystko, z wyjątkiem anarchji własnej gospodarki, z wyjątkiem zaślepienia zyskami i niepoczytalnej zachłanności własnego interesu.

Światowa konferencja ekonomiczna, odbyta w Genewie roku 1927, w powziętej przez siebie rezolucji na temat racjonalizacji, oświadczyła, że „robotnicy, szerokie warstwy konsumentów, biorące udział w procesach produkcji, winni otrzymywać lepsze wynagrodzenie, a dochody, przez przemysł dostarczane, winny być dzielone między nimi z zachowaniem większej równości". Niestety, nikt nie może twierdzić, że rezolucja ta została gdziekolwiek wykonana.

Nie zapominajmy też, że w roku 1929, a więc w okresie pomyślności gospodarczej, świat cywilizowany liczył... dziesięć miljonów bezrobotnych. Ta olbrzymia masa ludzi, pozbawionych wszelkiej zdolności konsumcyjnej, musiała wpłynąć fatalnie na konsumcję, musiała zaważyć na produkcji, musiała wywołać owe nadmiary, niemieszczące się w magazynach świata, musiała doprowadzić do kryzysu.

Gdybyż chciano z tej nauki cyfr statystycznych, z tej objektywnej wiedzy, jaką nas karmi niedawny okres prosperity i bieżący okres kryzysu, wyciągnąć właściwe wnioski! Gdyby chciano zrozumieć, że stała produkcja bezrobotnych musi prowadzić do katastrofy, że gospodarka świata nie może się opierać na anarchistycznych walkach o maksymalne zyski dla jednostek.

Te proste prawdy muszą być zrozumiane, jeżeli nie mamy stoczyć się wszyscy wspólnie na samo dno katastrofy, która z dniem każdym nabiera olbrzymiejących kształtów. *K. Muszałówna*

KLĄTWA PAPIERU

Nie będzie chyba w tem przesady, jeżeli powiemy, że nad życiem naszem w Polsce odrodzonej zaciążyła od zarania tego życia klątwa papieru. Nie wdając się w dociekania, skąd płyną źródła tego zjawiska, nie zwalając winy na wszelkiego typu biurokratyzmy, otrzymane w spadku po państwach zaborczych, ograniczymy się jedynie do skonstatowania tego bezspornego faktu. A konstatując go, chcielibyśmy jednocześnie podkreślić wagę skutków, jakie to zjawisko za sobą pociąga i jakie niejednokrotnie nabierają cech istotnej klątwy.

Każdy obywatel, mający — z tej właśnie racji, że jest obywatelem — do czynienia z rozmaitemi urzędami wszelkich instancyj, wie dobrze, jaką rolę w jego życiu odgrywa „papier". I wie także, że konieczność posiadania owego papieru (wszystko jedno, czy będzie to dowód osobisty, zaświadczenie, czy jakiś wypis z jakichś ksiąg), pociąga za sobą inną konieczność — długotrwałej i najeżonej całym szeregiem przeróżnych przeszkód wędrówki od okienka do okienka, od urzędu do urzędu, od woźnego do kancelisty, od kancelisty do referenta, od referenta do naczelnika i t. d. — aż wreszcie pożądany papier dostanie się do rąk zainteresowanego obywatela.

Kto miał sposobność wejrzeć w życie naszych urzędów, ten wie, jak potężnym, jak wszechabsorbującym jest cyrkulacyjny ruch papieru w każdem biurze. Codziennie pisze się i wysyła setki i tysiące owych papierów do innych urzędów i biur, a bardzo często (i to nie jest żaden żart, ale całkowita prawda) pisze się papiery z pokoju do pokoju w tym samym urzędzie. A że każdy papier musi być zaopatrzony w numer i przejść przez tak zwany „dziennik", więc też korespondencja pomiędzy jednym pokojem i drukim w tym samym urzędzie, w tym samym lokalu trwa nieraz tydzień i więcej czasu.

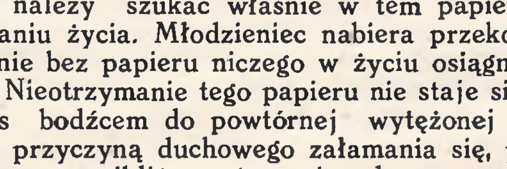
Każdy kandydat na jakiekolwiek stanowisko w jakiejkolwiek dziedzinie pracy musi przedewszystkiem mieć w porządku swoje papiery. Bo o nie właśnie, nie o zdolności indywidualne, nie o inicjatywę twórczą i umiejętność działania — pyta w pierwszych słowach rozmowy każdy pracodawca. To nic, że nawet „najmocniejsze" papiery nie zawsze są właściwym odpowiednikiem wewnętrznych wartości człowieka. To nic — bo wymowa papieru ma dziwnie sugestywną moc, wobec której szybko padają wszelkie przeszkody, których bez takiego papieru przezwyciężyć nie sposób.

Tak już przywykliśmy do mierzenia życia taką właśnie miarą papierową, że nawet dzieciom zaczyna się wpajać kult dla papieru. Nie mówi się dziecku: ucz się, gdyż bez nauki nie dasz sobie rady w życiu i będziesz tylko ciężarem dla innych, ale mówi się: ucz się, bo nie dostaniesz papieru. I przeciętnemu ojcu nie chodzi o to, by jego syn wykorzystał czas pobytu w szkole, jak najdalej dla rozszerzenia swych horyzontów umysłowych, ale by otrzymywał promocje z klasy do klasy i wreszcie — jako ukoronowanie tego pobytu — maturę.

Przyczyny tak częstych w ostatnich czasach tragedji młodzieży, kończących się nieraz zamachami samobójczemi z racji nieotrzymania promocji, czy matury, należy szukać właśnie w tem papierowem traktowaniu życia. Młodzieniec nabiera przekonania, że istotnie bez papieru niczego w życiu osiągnąć nie potrafi. Nieotrzymanie tego papieru nie staje się dlań wówczas bodźcem do powtórnej wytężonej pracy, ale jest przyczyną duchowego załamania się, podsycanego przez najbliższe otoczenie domowe, załamania się, które w ostatecznym wyniku wciska mu broń samobójczą do ręki.

I — rzecz niezmiernie charakterystyczna. Każdy z nas bądź z własnego doświadczenia, bądź z obserwacji życiowej wie, że — idąc przez życie — można spotkać tylu zaopatrzonych w najwspanialsze papiery ludzi, którzy przy warsztatach pracy okazują się jednostkami bezwartościowemi i odwrotnie — ludzi najdzielniejszych i najbardziej wartościowych a nieposiadających papierowych legitymacyj. Każdy z nas o tem wie, a przecież człowieka bez papieru przywykło się stawiać bezapelacyjnie niżej od „upapierowanego". Naprawdę jest to już pewien nałóg. A że z nałogami trzeba walczyć — konieczną wydaje się nam i walka z nawykiem mierzenia wartości ludzkiej miarą papierową.

Zygm. Michałowski



Z DZIEJÓW MASONERJI

JERZY WASHINGTON JAKO WOLNOMULARZ

Utarło się powszechnie mniemanie, iż Jerzy Washington był wielkim mistrzem wolnego mularstwa Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Twierdzenie to nie jest jednak zupełnie ścisłe.

Bohater narodowy Stanów Zjednoczonych przyjęty został 4 listopada 1752 r. do loży szkockiej Nr. 4, świeżo założonej w Frederiksburgu, w rodzimym jego stanie Wirginji. Washington był wówczas, jako młodzieniec dwudziestoletni, majorem armji królewskiej. 3 marca i 4 sierpnia roku następnego młodzieniec otrzymał dwa wyższe stopnie wolnomularskie, a zczasem został pierwszym mistrzem katedry loży Washington Alexandria Nr. 22 w Alexandrji.

Naówczas Ameryka Północna posiadała osiem wielkich lóż, zależnych od wielkiej loży Londyńskiej: dwie w stanie Masachussetts, jedną w Pensylwanji, a pozostałe pięć w New-Yorku, w Wirginji, i w obydwóch Karolinach. Liczne ryty walczyły o pierwszeństwo i splatały się wpływy różnych centrów wolnomularskich.

Z wybuchem wojny o niepodległość zależność wolnego mularstwa amerykańskiego od wielkiej loży Londyńskiej przestała właściwie istnieć i wolnomularstwo amerykańskie poczęło dążyć do zjednoczenia się pod władzą ogólnoamerykańskiego generała wielkiego mistrza. Na ten wysoki urząd upatrzono Washingtona, którego wpływy zwiększały się z dniem każdym w narodzie, a także i w wolnem mularstwie.

***

Kandydaturę bohatera narodowego wystawiły w grudniu 1779 r. jednocześnie wielka loża Pensylwańska i wojskowa „Związek Amerykański". W początku roku następnego wielka loża Pensylwanji uchwaliła na zebraniu nadzwyczajnem zwrócić się do wszystkich lóż Ameryki Północnej z wezwaniem, aby, z powodu zerwania zależności od wolnomularstwa angielskiego, przystąpiły do wyborów amerykańskiego generała wielkiego mistrza. Taka sama uchwała zapadła w komitecie lóż wojskowych.

W odezwie do mistrzów lóż amerykańskich, komitet proponował utworzenie „Wielkiej Loży Ameryki" pod przewodnictwem „najczcigodniejszego (Most Worshipful) Wielkiego Mistrza", którego obiór zatwierdzony być winien do czasu ostatecznej organizacji wielkiej loży ogólno-amerykańskiej przez „Wielką Lożę Matkę w Europie". Odezwę podpisali przedstawicele lóż: „Connecticut", „Związek Amerykański", „New-Jersey", „Pensylwanja", „Zatoka Massachussetts", „Washington Nr. 10", „Artylerja", „Pułk Ś-go Jana" i „New-York". Nad podobnym projektem pracowała również loża bostońska „Massachussetts".

Korespondencja w tej sprawie powstała też pomiędzy wielkiemi lożami Pensylwanji i Massachussetts. Skończyło się jednak na niczem. Loża Massachussetts z samego początku zachowywała się nieprzychylnie względem projektu wielkiej loży Pensylwanji: najpierw odpowiadała wykrętnie, a następnie zupełnie przestała odpowiadać.

Zjednoczenie wielkich lóż amerykańskich nie doszło do skutku, natomiast we wszystkich Stanach poczęły powstawać oddzielne wielkie loże. Wolnomularstwo amerykańskie nie otrzymało generała wielkiego mistrza. Lecz popularność Washingtona wśród mularzy była tak wielka, iż niektóre loże uważały go jednak za wielkiego mistrza. I tak loża na San Domingo przysłała mu prośbę o potwierdzenie jej praw, a w Pensylwanji wybity był na jego cześć medal z inicjałami: „G. W. G. G. M.", co oznaczało: „George Washington General Grand Master". Gdy zaś „Wysoka Loża Doskonałości" poświęcała uroczyście własny gmach w Filadelfji, podczas bankietu wychylono toast „za Wielkiego Mistrza Ameryki, umiłowanego brata Jerzego Washingtona".

**
*

Wolni mularze amerykańscy otaczali czcią niezwykłą twórcę niepodległości ich ojczyzny. Świadczą o tem opisy uroczystości.

W 1778 r., a więc podczas zwycięskiej wojny z Anglikami, wielka loża pensylwańska urządziła procesję z powodu przybycia Washingtona do Filadelfji. Procesja wyznaczona była na dzień dorocznego święta wolnomularskiego, Ś-go Jana zimowego 27 grudnia, lecz wskutek niedzieli i braku w ten dzień wolnych kościołów odłożono ją na dzień następny. Od czasu poświęcenia w 1755 r. domu wolnomularskiego była to w Filadelfji pierwsza procesja publiczna masonów. Przed uroczystością zwróciła się do bohatera deputacja lóż i wręczyła mu adres i zaproszenie do wzięcia udziału w procesji. „Jego Ekscelencja — donieśli później delegaci wielkiej loży — zechciał wyrazić podziękowanie i zupełną zgodę". „O godzinie dziewiątej rano — pisała gazeta miejscowa — zebrało się około trzystu braci. O 11 wyruszyła procesja z kolegjum do kościoła Zbawiciela dla wzięcia udziału w nabożeństwie. Porządek procesji był następujący: miecznik, dwóch djakonów z niebieskiemi laskami, kolumny — dorycka, jońska i koryncka niesione przez trzech braci, biblja i księga konstytucji niesione przez wielkich skarbnika i sekretarza na amarantowych poduszkach atłasowych, brat duchowny, czterech djakonów z laskami, jego ekscelencja dostojny brat Jerzy Washington podtrzymywany przez mistrza Bolla i jego namiestnika, wielcy dozorcowie z kolumnami, byli mistrzowie różnych lóż, obecni mistrzowie lóż, starsi dozorcowie lóż, młodsi dozorcowie, sekretarze, skarbnik, orkiestra muzyki, bracia przyjezdni, członkowie różnych lóż parami i według starszeństwa. Procesja weszła do kościoła i bracia zajęli miejsca na ławkach. Pastor odmówił modlitwy i bracia z akompanjamentem organów i innych instrumentów muzycznych odśpiewali antyfony. Następnie brat pastor wygłosił kazanie. Po skończonem nabożeństwie przy dźwiękach orkiestry, grającej hymny wolnomularskie, i dzwonów kościelnych, procesja w tym samym porządku wróciła do kolegjum. Stroje braci, kosztowne sprzęty obrzędowe loży i oznaki tworzyły widok niezwykle malowniczy".

**
*

W lecie roku następnego w dzień Jana Chrzciciela odbyła się druga uroczystość wolnomularska z udziałem Washingtona przy armji w obozie Stanu New-Jersey. Organizatorką uroczystości była loża wojskowa „American Union Lodge", lecz udział w święcie wzięły i inne loże wojskowe. „Po ukończeniu uroczystości — czytamy we współczesnem sprawozdaniu — Jego Ekscelencja brat Washington w towarzystwie sekretarza i dozorców loży przeszedł pośród zebranych braci do rzeki i wszedł do swej łodzi przy dźwiękach muzyki, która grała „Boże, chroń Amerykę". Gdy łódź odpłynęła, z brzegu rozległo się trzykrotne „Vivat", na które odpowiedziano z łodzi również trzykrotnym wiwatem. Orkiestra grała marsza grenadjerów".

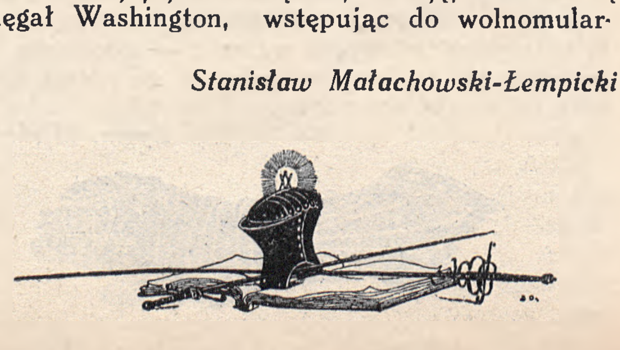
Począwszy od 1779 na wszystkich bankietach wolnomularskich wznoszono toast za „generała Washingtona", wiele lóż przysyłało mu adresy i obierało go członkiem honorowym, nowe loże przyjmowały jego imię. Pierwsza, po objęciu przez Washingtona godności prezydenta, doroczna uroczystość wolnomularska odbyła się nadzwyczaj solennie; w adresie Washington nazwany był „wielkim mistrzem budowniczym, który wzniósł na zachodzie świątynię swobody". Usunięcie się Washingtona w 1796 od życia publicznego upamiętnili wolni mularze odpowiednim adresem.

Szczególnie uroczyście odbyły się loże żałobne po zgonie wielkiego bohatera. Wolnomularstwo brało udział w obchodzie żałobnym urządzonym przez miasto Filadelfję zgodnie z uchwałą kongresu. Uważając to uczczenie bohatera za niedostateczne, mularze pensylwańscy odbyli na jego cześć własne zebranie i procesję. W Filadelfji 1 stycznia 1800 w sali obitej czarną materją, przy katafalku z wolnomularskiemi i wojennemi oznakami Washingtona odbyła się loża żałobna. „Sala była przepełniona — czytamy we współczesnem sprawozdaniu — kilka minut panowało uroczyste milczenie, następnie dostojny mistrz „wykrzyknął od wschodu: „Zmarł brat Washington". „Zmarł znamienity brat Washington" — odpowiedziało mu południe i zachód. Zaczęły się mowy, przerywane łkaniem mówców i słuchających. Loża była cały dzień otwarta dla obcych, a na skutek prośby wielu dostojnych obywateli otworzono ją jeszcze w sobotę 4 stycznia od 10 do 4 popołudniu. 24 lutego tegoż roku odbyła się w Filadelfji procesja żałobna z udziałem 11 lóż pensylwańskich. Niesiono trumnę, pokrytą kirem; zgaszone pochodnie i wszystkie sprzęty obrzędowe lóż masońskich powleczone były również krepą. 11 lutego takaż ceremonja odbyła się w Bostonie.

**
*

Relikwie Washingtona przechowywane są dotychczas w różnych lożach amerykańskich. W wielkiej loży stanu Massachussetts w złotej szkatułce znajduje się pukiel jego włosów. Loża frederiksburska przechowuje, jako świętość, biblję, na którą przysięgał Washington, wstępując do wolnomularstwa.

Stanisław Małachowski-Łempicki



ODGŁOSY

TWÓRCZOŚĆ DZIECI

Znany pedagog francuski *Freinet*, którego metody nauczania wywołały niedawno głośną polemikę na łamach prasy i w parlamencie, zainicjował „Wydawnictwa szkolne" — pod hasłem rozwoju indywidualnej aktywności dzieci. Freinet wydaje pismo „*Kłos*" w całości redagowane i ilustrowane przez uczniów. Opowiadania dzieci są niezwykle interesujące nietylko z punktu widzenia psychologa, lecz przedstawiają również dużą wartość artystyczną dla swojej bezpośredniości i prostoty wyrazu. Przytaczamy poniżej opowiadanie jedenastoletniego autora p. t. „Mały kot, który nie chciał umrzeć".

„Pani Chautard chciała zabić swojego kota. Był chory. Rzekła do Leona Biet: „Rzuć go do rzeki, wyświadczysz mi przysługę". Leon Biet poszedł na most i cisnął kotka do wody, która była w tem miejscu głęboka. Kot zniknął w wirze. Zawołaliśmy: „Oto, oto zdechł". Lecz mały kot nie chciał umrzeć. Uczepił się krzaka i wyszedł z wody. Schował się wśród kamieni. Gdy zapadła noc, wrócił do domu, i skrył się w budzie psa Papillon. Papillon rzekł: „Jakiś ty mokry! zimny! połóż się przy mnie, ogrzeję cię". Mały kot spoczął przy dobrym psie. Potem dwaj przyjaciele rozpoczęli cichą rozmowę, by nie obudzić pani Chautard. Kot powiedział: „Chcieli mnie zabić... Bez tego krzaka byłbym utonął!" „Tak" — odrzekł pies — małe dziecko nie uratowałoby się tak, jak tyś to uczynił".

„Ach — dodał kot — gdybyś wiedział, jaka woda jest zimna! I ten szum w uszach: Hu!... Hu!... Ciskali kamieniami, by mnie zabić..."

„Nie myśl więcej o tem — rzekł Papillon — śpij!" Potem polizał czoło przyjaciela, właśnie tam, gdzie są smutne myśli małych kotów."

ECHA UCHWAŁY BUDAPESZTEŃSKIEJ

Z ogłoszonego na łamach *Wiadomości Literackich* przez p. Jana Parandowskiego sprawozdania z kongresu Penklubów w Dubrowniku dowiedzieliśmy się, że delegaci 18 centrów, a w tej liczbie delegaci Penklubu polskiego złożyli wniosek, w którym między innemi powiedziano:

— Kongres Pen Clubów w Dubrowniku uważa za swój obowiązek przypomnieć zasady ogólne, na których zostały założone P. E. N. Cluby i bez których istnienie federacji straciłoby rację bytu..."

Dalej następuje wyliczenie tych zasad, a wśród nich p. 3 brzmi: „... potępienie wszystkiego, co może zagrażać czy to prawom ducha, czy zbliżeniu narodów, zwłaszcza *przesądów rasowych, albo wyznaniowych i fanatyzmu nacjonalistycznego...*"

Literaci z obozu nacjonalistycznego w Polsce okazali się tym razem i mądrzejsi i bardziej lojalni, niż ich koledzy - dziennikarze. Nietylko nie obsypali delegacji polskiej na kongresie Penklubów insynuacjami i napaściami na łamach prasy, ale nawet na walnem zgromadzeniu Penklubu w Warszawie nie wytoczyli żadnych pretensji do delegacji o to, że ten słuszny wniosek wraz z innemi delegacjami podpisała.

***

Na ten temat jeszcze jedna uwaga.

Dziennikarze nacjonalistyczni polscy w swojej kampanji przeciw delegacji polskiej na kongres w Budapeszcie znaleźli bardzo serdecznego sprzymierzeńca.

Oto w biuletynie hitlerowskiej agencji „Der Ost - Express" z dn. 1 czerwca znajdujemy notatkę p. t. „Dziennikarze polscy przeciw zniesławianiu prasy niemieckiej". W notatce tej czytamy:

— Uchwała budapeszteńska F. I. J. o zerwaniu stosunków z „Reichsverband der deutschen Presse" doprowadziła do ostrych przeciwieństw w polskiej organizacji dziennikarskiej. Dziennikarze opozycyjnej partji narodowej zarzucają delegacji polskiej w Budapeszcie, że przez swoje głosowanie przeciw Reichsverbandowi w sposób partyjny wypowiedzieli się przeciw idei nacjonalizmu. Dziennikarze polscy zbliżeni do partji narodowej zgłaszają zastrzeżenia przeciw uchwale budapeszteńskiej, jako mającej zabarwienie polityczne i stanowiącej wtrącanie się do wewnętrznych spraw Niemiec."

Tak oto z czułą sympatją i wzruszeniem agencja hitlerowska referowała w Berlinie stanowisko dziennikarzy prasy narodowo-demokratycznej w Polsce.

Warto i to zanotować.

BEZKRWAWY PRZEWRÓT

Przewodniczący Komisji spraw zagranicznych senatu francuskiego i były ambasador Francji w Waszyngtonie, p. *Henryk Berenger*, zamieścił w „Ilustrowanym Kurjerze Codziennym" niezwykle interesujący artykuł o przewrocie, jaki dokonywuje się pod rządami Roosevelta.

W świetle wywodów p. Berengera Stany Zjednoczone przeżywają przesilenie, które znacznie wykracza poza tradycyjną walkę pomiędzy partją republikanów a demokratów: „To, co dzieje się w Ameryce, to już nietylko zmiana osób, przemalowanie szyldu politycznego — to przewrót społeczny, który przekroczył zwykłe ramy walk partyjnych". Przewrót ten nie doszedł do skutku wśród przelewu krwi i jest rzeczą całkiem możliwą, że utrzyma się w formach parlamentarnych, przewidzianych przez konstytucję. „Europa znajduje się w obliczu nowej epoki historji amerykańskiej... Po wyborach przystąpiono do zmiany struktury kraju. Kto? Roosevelt oraz ci, których zgrupował on koło siebie, jako prawdziwą umysłową gwardję „przyboczną". Ten „trust mózgów", o którym pisała „Epoka" (Nr. 26), ma w swych rękach faktyczną dyktaturę. „Nowa ekipa socjologów u władzy pracuje pełną parą i będzie dalej tak postępować do 15-go grudnia, t. j. do tej daty, kiedy musi złożyć rachunki przed kongresem. Sześć miesięcy mają ci ludzie przed sobą. Zdobędą sukces, albo znikną."

Jakie są cele bezkrwawego przewrotu? Do czego dąży trust mózgów? Przedewszystkiem „chce zgnębić bankierów i wielkich spekulantów, postawić ich w stan oskarżenia, pozbawić ich czci — a jeśli zajdzie konieczność — na ich miejsce wysunąć profesorów uniwersytetu i socjologów, a wreszcie — podporządkować wolną konkurencję kapitalistyczną etatyzmowi, kontrolowanemu przez dyrektorjat urzęd-

ników. Dyrektorjat ten chce mieć „swój fotel" we wszystkich przedsiębiorstwach. Zamierza on urzeczywistnić w efekcie coś w rodzaju socjalizacji przedsiębiorstw prywatnych".

Nowa elita potrafiła w ciągu niespełna trzech miesięcy zdetronizować króla-dolara, wprowadzić zakaz wywozu złota, porzucić gold-standard, wsadzić do więzienia lub conajmniej wytoczyć śledztwo królom przemysłu i banków. „A to dopiero początek... Ale jak przywrócić powszechny dobrobyt?". Nowy rząd prezentuje rozwiązanie bardzo proste:

„Dewaluacja dolara — zwyżka cen, oto sztandar i tarcza".

P. Berenger tak kończy artykuł:

„Jedno jest rzeczą pewną, że ustrój indywidualistyczny i kapitalistyczny, który dotąd charakteryzował Stany Zjedn. Ameryki, znalazł się pod znakiem zapytania. Intelektualiści trzeciego stanu, urzędnicy, parci gniewem stanu średniego, wyrwali cugle władzy królom z Wallstreet oraz uprzywilejowanym z ministerstwa handlu. Ale jeszcze rozwiązania problemu — niema.

Rozum nakazuje stwierdzenie tego stanu faktycznego, ale — nie pozwala na wyciąganie wniosków".

KSIĄŻĘCA RADOŚĆ ŻYCIA

Tygodnik „Jutro Pracy" (Nr. 26), organ Pracowników państwowych, prywatnych i samorządowych, w artykule p. t. „Książęca radość życia" pisze m. in.: „Ks. Janusz Radziwiłł, występując na zjeździe pracowników, jako przedstawiciel przemysłu cukrowego, zaapelował do pracowników, aby zamiast „biadania nad kryzysem" wykazali „radość życia", którą ks. Radziwiłł uważa za element twórczy i skuteczny w walce z kryzysem.

Wezwanie to, zdaniem naszem, skierowane zostało pod fałszywym adresem. Przecież to nie pracownicy, lecz właśnie „sfery gospodarcze" nieustannie lamentują na temat kryzysu. Przecież to przemysłowcy jęczą, że nie „przełamią" kryzysu, póki nie zostaną zniesione ubezpieczenia społeczne. Przecież to ziemiaństwo żąda ciągłych moratorjów podatkowych i „konwersyj" długów, których terminy ekspirowały. Nikt inny, jak właśnie sfery gospodarcze ciągle narzekają na podatki, na cła, na zbyt „wysokie" uposażenia urzędnicze, na urzędy skarbowe, na egzekucje, jednem słowem na wszystko, co jest przez Państwo powołane, jeśli nie na usunięcie, to przynajmniej stępienie skutków kryzysu.

Nie jest pozbawiony pikanterji fakt, że przedstawiciel przemysłu cukrowniczego apel swój skierował do pracowników cukrowni.

Czy systematyczna likwidacja cukrowni polskich, wyrzucająca na bruk setki pracowników, której jesteśmy świadkami od kilku miesięcy, może wywołać wśród pracowników „radość życia?"

Czy nieustanne zatargi w przemyśle na tle łamania przez pracowników ustaw i umów zbiorowych mogą wśród pracowników obudzić wiarę w przełamanie kryzysu i natchnąć ich wolą przetrwania?

Hasło radosnego pomijania bieżących trudności na rzecz twórczego budownictwa Jutra nie jest wynalazkiem sfer gospodarczych. Na granicznej stacji Niegorełoje rozpoczyna się rozległy kraj monumentalnych budowli, potężnych fabryk, Dnieprostroju, industrjalizacji rolnictwa i... lipowych łapci oraz kartek na chleb. Wszyscy turyści zagraniczni zgodnie podkreślają potworny kontrast między rozmachem twórczym i entuzjazmem mas a nędzą życia codziennego państwa proletarjackiego. Ale nawet najbardziej złudne miraże szczęśliwości, roztaczane przez fanatyków ustroju sowieckiego, mają cechę rzeczywistości, wobec faktu, iż cierpienia ludności Rosji mają okupić zbudowanie legendarnego państwa socjalistycznego, rządzonego przez proletarjat.

Jakiż cel radosnego znoszenia męczarni kryzysu mogą nam zaprezentować sfery gospodarcze? Przecież program Lewjatana — to powrót do przedwojennego nieograniczonego czasu pracy; to zniesienie ubezpieczeń społecznych i inspekcji pracy; to możność niczem nieskrępowanego wyzysku pracownika; to wreszcie szansa zwiększenia zysków, które w lwiej części wywożone są przez obcych i swych akcjonarjuszów — zagranicę.

Nie chcemy być złośliwi i dlatego nie snujemy osobistych porównań między położeniem ekonomicznem pracownika, a książącym „trybem życia uprzywilejowanych".

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

WYCHOWANIE A USTRÓJ SPOŁECZNY

Punktem wyjścia dla rozważań Bertranda Russell'a*) o współczesnem wychowaniu jest rozdźwięk pomiędzy metodami i celami wychowania obywatelskiego a indywidualnego. Ideałem jednostki jest niezależność i samodzielność. Obywatele zaś — w rozumieniu rządów — to osoby „zachwycone istniejącem status quo". Russell wskazuje, że obawa przed zmianami — ideał wiecznego status quo — kultywuje w człowieku nałóg kroczenia udeptaną drogą. Przyznaje, że wychowanie powinno wytwarzać spójnię społeczną między ludźmi. Niezbędnem jednak jest wytwarzanie — poza spójnią narodową w obrębie jednego państwa — więzi międzynarodowej i ujmowanie całej rasy ludzkiej jako współpracującej całości. Russell uważa kultywowanie żywego poczucia *obywatelstwa świata* za najistotniejszą potrzebę wychowawczą najbliższej przyszłości.

***

Najnowsza teorja wychowania głosi, że jego celem jest zapewnienie jednostce możliwości nieskrępowanego rozwoju i zwalczanie wpływów, które ten rozwój hamują. Argumenty, przemawiające za swobodą w wychowaniu, są poważne i liczne. Przymus rodzi u dziecka uczucie nienawiści, które jątrzy psychikę, a najczęściej zapada się w podświadomość, wywołując nieoczekiwane konsekwencje w ciągu całego życia. Przedmiotem nienawiści może potem stać się zamiast ojca lub nauczyciela — państwo lub obcy naród i człowiek staje się anarchistą, lub militarystą. Albo nienawiść do zwierzchników, gnębiących dziecko, może przerodzić się w chęć podobnego gnębienia następnego pokolenia. Innem na-

*) *Bertrand Russell.* Wychowanie a ustrój społeczny. Tłom. dr. Janina Hossiasonówna. Warszawa, 1933. Tow. wyd. „Rój".

stępstwem przymusu w wychowaniu jest zabijanie oryginalności i zainteresowań intelektualnych. Niszczy się inicjatywę. Z tych względów reformatorzy zmierzają do coraz większej swobody w szkole. Russell widzi jednak konieczność pewnych ograniczeń. Zasada bezwzględnej swobody musi podlegać skrępowaniu, gdy chodzi o sprawy higjeny, czy o przyzwyczajenie dziecka do punktualności i systematyczności. Tu niezbędna jest, zdaniem Russella, „pewna mieszanina subtelna wolności i przymusu". Przyczem teorja swobodnego wychowania, słuszna jeśli chodzi o rozwój emocjonalny, nie może jednak być przyjęta w zastosowaniu do wyszkolenia intelektualnego, które wymaga pewnej dyscypliny, a często nawet rezygnacji z naturalnych impulsów dziecka.

Dobitnym przykładem surowej dyscypliny pedagogicznej są angielskie „public schools" — o tradycjach i nastroju arystokratycznym.

Szkoły te urobiły umysłowość imperjalną Anglji 19 wieku, a do dziś zachowały wpływ na brytyjskie życie narodowe. Wychowują „budowniczych imperjum". Russell widział podczas swej podróży na Wschód „jak ludzie, uważający się za najpiękniejszy produkt „public school" zachowywali się wobec uczonych Azjatów i musiał „rumienić się, że jest Anglikiem". Zachowywali się z zuchwalstwem zdobywców wojennych i zadowoleni byli, że dowiedli swej wyższości przy pomocy armat i pancerników.

Źle pojęte wychowanie demokratyczne przedstawia, według Russell'a wady równie wielkie, jak nauczanie arystokratyczne. „Błąd arystokracji polega nie na tem, że uznaje ona wyższość jednych ludzi nad innymi, lecz na tem, że uważa wyższość tę za dziedziczną. Błąd demokracji natomiast polega na popieraniu *gromady*, która nie uznaje żadnych wogóle tytułów do czyjejkolwiek wyższości". Pogląd, że specjalna selekcja najzdolniejszych dzieci jest niedemokratyczna, prowadzi do wielkiego marnotrawstwa materjału ludzkiego.

Gromadzie, jako czynnikowi kształtującemu charakter człowieka, poświęca Russell specjalną uwagę. Dowodzi, że strach przed gromadą, zakorzeniony głęboko w każdym niemal człowieku, zaszczepiony zostaje poraz pierwszy w szkole. Szczególnie doniosłem ze stanowiska społecznego jest traktowanie dzieci, należących do grupy socjalnej, nielubianej przez szkolne otoczenie, np. sytuacja Żydów w szkole chrześcijańskiej. Obelgi, jakie znosi dziecko z powodu swej przynależności rasowej, pozostają w pamięci i zabarwiają często całą późniejszą postawę życiową wobec świata. Rodzą się — poza nacjonalizmem żydowskim — dwie reakcje: reakcja rewolucjonisty lub pochlebcy. Za jaskrawe przykłady obu wypadków uważa Russell Karola Marxa i lorda Disraeliego.

Zbyt intensywny nacisk gromady nie pozwala na rozwój indywidualności oraz wszelkich takich zainteresowań, które nie są powszechne wśród przeciętnych dzieci. Jedną z zalet szkół specjalnych dla młodzieży o wyjątkowych zdolnościach jest wyższy poziom inteligencji gromady, mniej wrogo usposobionej wobec kulturalnych zainteresowań.

Omawiając wpływy, jakie wywiera na młodzież wychowanie religijne, Russel podkreśla niedocenianie walorów intelektualnych. Zródłem zachowawczej etyki kościelnej są, według Russella, zagubione w przeszłości dziejowej przesądy, co widoczne jest najwyraźniej w dziedzinie zagadnień seksualnych.

Szkodliwem następstwem przemilczania zjawisk seksualnych jest przekonanie dzieci, że rodzice je okłamują. Dzieci wogóle dowiadują się prawdy znacznie wcześniej, niż rodzice przypuszczają i często umyślnie zadają w dalszym ciągu pytania, aby z pewną młodzieńczą satysfakcją notować w pamięci kłamliwe odpowiedzi rodziców. Informacje o sprawach płci powinne być udzielane takim samym tonem i w ten sam sposób, jak wszelkie inne wyjaśnienia. Poprostu i bezpośrednio. „Niektórzy sądzą, że naprzód trzeba opowiedzieć dzieciom o miłości kwiatów, potem o niewinnych igraszkach owadów i dopiero po tym długim wstępie biologicznym — o zachowaniu rodziców, które w tym kontekście wymaga jakoby szerokiego usprawiedliwienia. Ten długi wstęp wydaje się jednak konieczny tylko dorosłym, gdyż byli fałszywie wychowani. Dziecku, jeśli nie przejęło się pruderją starszych, płeć wydaje się rzeczą taksamo naturalną, jak każda inna."

Bez zupełnej zmiany kodeksu moralnego — trudno wyobrazić sobie system wychowania wolny od poważniejszych zarzutów. Dla większości mężczyzn upływa dziś długi okres czasu między osiągnięciem dojrzałości płciowej, a małżeństwem. Jeśli pierwsze doświadczenia seksualne mężczyzny mają charakter stosunków z prostytutką, płatnych i pozbawionych wszelkiego uczucia, będzie on prawdopodobnie — gdy się ożeni — traktował swą żonę, albo jak prostytutkę, albo jak świętą, a ani jedno, ani drugie nie prowadzą do szczęśliwego pożycia. Wstrzemięźliwość nie okazałaby się tak nieznośnym ciężarem dla młodzieży, gdyby istniała świadomość, że obowiązek jej przestrzegania ustaje z ukończeniem np. dwudziestego roku życia. Russell wierzy, że korzystną realizacją takiego stanu rzeczy mógłby być proponowany przez sędziego Lindsaya system koleżeńskich małżeństw bezdzietnych.

Etyka seksualna związana jest dziś z ustrojem własności i rodziny pseudomonogamicznej. Osłabienie roli rodziny nastąpi — zdaniem Russell'a — drogą coraz wyraźniejszego przekazywania opieki nad dziećmi społeczeństwu. Istotne przeobrażenie stosunków w sensie równouprawnienia płci wymaga zmiany opinji i instytucyj społecznych. Już dziś jednak powinno być niewzruszoną zasadą w traktowaniu spraw seksualnych, aby nie opowiadać nigdy młodzieży „umoralniających" kłamstw.

Zkolei omawia Russell szkodliwość propagandy nacjonalistycznej. Zajadłość szowinistyczna grozi zagładą cywilizacji. Nauczanie, gloryfikujące wojnę, obraca wniwecz wysiłki pacyfistów. Russell sądzi, że jednolite we wszystkich krajach, uzgodnione przez Ligę Narodów, nauczanie dziejów świata, byłoby skutecznem zarządzeniem w kierunku wygnania szowinizmu ze szkoły. „Należy uczyć przedewszystkiem historji świata, a nie narodowej historji i akcentować wydarzenia o znaczeniu kulturalnem, a nie militarnem.

Przed propagandą szowinistyczną czy religijną otworzyło nieograniczone możliwości — powszechne nauczanie. Umiejętność czytania umożliwiła potężny i powszechny wpływ prasy. Russel proponuje wielostronne zaznajamianie młodzieży z aktualnemi sprawami. Ilustruje swoją propozycję dowcipnym przykładem. Radjo powinno nadawać w po-

niedziałki debatę na temat komunizmu; jednego poniedziałku przemawia ambasador sowiecki, następnego — Winston Churchill. We wtorki — dyskusja na temat Indyj pomiędzy wicekrólem a Gandhim. W środy — na temat religji — między arcybiskupem Canterbury a Stalinem.

***

Zdaniem Russell'a — świat nie może korzystać z dobrodziejstw techniki nowoczesnej, dopóki istnieje zorganizowane współzawodnictwo narodów. Gdy technika nasza wymaga współdziałania całej rasy ludzkiej, jako jednej produkującej i konsumującej całości — namiętności nasze i przekonania polityczne domagają się w dalszym ciągu współzawodnictwa. Ludzie nie chcą słuchać nakazów rozumu, który uzasadnia konieczność współpracy międzynarodowej. „Ta powszechna niezdolność kierowania się intelektem w celach samozachowawczych wynika głównie z niezdrowych i niszczycielskich impulsów, czających się w poświadomości ludzi, których nie umiano wychowywać w dzieciństwie i młodości."

Mimo coraz doskonalszej techniki wytwarzania, stajemy się coraz ubożsi. Mimo, że wiemy dobrze o okropnościach następnej wojny, hodujemy uczucia, które uczynią ją nieuniknioną. Mimo, że człowiek coraz władniej panuje nad siłami natury — większość ludzi odczuwa niemoc i beznadziejność rozpaczliwą. Jedno ze źródeł zła upatruje Russell w namiętnościach i antypatjach, wpajanych nam w dzieciństwie i młodości.

Świat żyje w nieznośnem napięciu, naładowany nienawiścią. Wiele najlepszych umysłów dało się opanować rozpaczy. Russell jest jednak optymistą: ...„Do rozpaczy niema dostatecznych podstaw. Droga do szczęścia rasy ludzkiej istnieje i trzeba tylko, aby ludzkość zechciała na nią wstąpić."

P. S. W rozdziale „Wychowanie a dziedziczność" (str. 57) popełniła tłomaczka poważny błąd.

Przytacza nazwisko twórcy teorji dziedziczności u roślin — Mendela w zmienionem brzmieniu „Mendelejew". Niewątpliwie Mendelejew jest bardziej znany i popularny od księdza-botanika Mendela, niemniej jednak chemik Mendelejew, twórca perjodycznego układu pierwiastków, ma mało, a raczej nic wspólnego z teorją dziedziczności, zbudowaną przez austrjackiego uczonego, noszącego nazwisko — Mendel.

Józef Szpecht

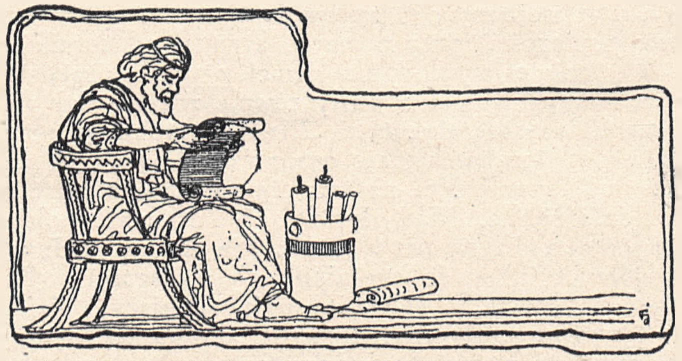
MOCNA POEZJA

Owocem serdecznych i gorących zmagań się z poetyckiem rzemiosłem jest tomik poezyj Juljusza Grota „ W Przededniu" (Warszawa 1933, wyd. F. Hoesicka"). Ilościowo zbiór ten przedstawia się dość ubogo, jak na paroletni wysiłek pisarski, natomiast pod względem jakości zasługuje na słowa najgorętszego uznania. Autor wywalczył sobie rzecz najtrudniejszą u poety — własny styl i w przeciwieństwie do większości naszych talentów poetyckich, wyposażył ten styl w mocny pierwiastek męski. Rewolucyjne szepty i okrzyki tego tomu znamionuje nietylko piękna odwaga, lecz serdeczne przeżycie ich treści, — wynoszenie we własnem sercu głoszonych przez siebie haseł i przejęcie się ideałami „W Przededniu", aż do determinacji. Grot — to nie żaden „aktualny" czy „konjukturalny" piewca proletarjackich walk, lecz poeta przesiąknięty do głębi ich słusznością, potęgą i pięknem.

Radzilibyśmy autorowi, by mniej wpatrywał się we wzory poetyckie współczesnych „majstrów" polskiego słowotworu. Może najszczerzej i najbardziej wstrząsająco brzmią strofy Grota tam, gdzie autor wznosi się aż do pogardy względem tak modnego dziś wysilania się na oryginalność rymu i na niezwykłość metafor. Przydałoby się Grotowi gruntowne zaprzyjaźnienie się z twórczością Whitmana, tego wspaniałego pogromcy moli i pająków poetyckich. Z polskich poetów niewątpliwie Kasprowicz na najwyższe wzniósł szczyty prostotę słowa, która zdaje się być odpowiednikiem nietylko haseł głoszonych przez Grota, ale i rodzaju talentu tego autora.

Wiersz Grota (niestety nie wszystkich utworów) brzmi jak walenie młotem, — jest metaliczny, mocny i dudniący. Wplatanie w takowy huk misternych majstersztyków słownych, niezwykłych, niekiedy dziwacznych porównań, działa osłabiająco na wrażenie czytelnika i wywołuje obawę, by mocny, oryginalny, potężną dynamiką obdarzony talent autora nie uległ manjerze stąpania po nadzwyczajnościach i jałowego wyciskania z siebie sztucznych hocków - klocków słownych.

Jerzy Kornacki



GŁÓD PRACY

Czasopismo nowojorskie *The American Spectator* zamieściło list otwarty pisarza *Sherwood Andersona* do znakomitego autora „Tragedji amerykańskiej" — *Teodora Dreisera:*

„Przed kilkoma tygodniami zapytał mnie Pan, czy podczas tegorocznej podróży po Ameryce nie zauważyłem wśród mieszkańców miast i wsi oznak zbliżającej się rewolucji. Nie spostrzegłem... Sądzę, że rewolucjoniści europejscy zawiedli się na Ameryce w swych rachubach. W błędzie byli nietylko komuniści, lecz również socjaliści. Amerykanin jest zgruntu różny od Europejczyka. Naszą wielką epoką był okres tworzenia. Przybywając ze wschodu, Amerykanie przekroczyli góry, opanowali niezmierzone przestrzenie i w miarę posuwania się naprzód budowali drogi żelazne, wznosili miasta, zakładali fermy. *Tworzyli* swój kraj. Kraj był tak olbrzymi, że pochód wymagał szybkiego tempa. Jestem przekonany, że jedynie maszynizm, koleje etc. zapobiegły rozbiciu kraju na dziesiątki małych narodów. Maszynizm, któremu dziś złorzeczymy, oszczędził nam długich lat wewnętrznych wojen.

...„W umyśle przeciętnego Amerykanina rewolucja i Sowiety rysują się krwawemi obrazami. Lecz

istnieje inny problem: wszędzie, gdzie przejeżdżałem, ludzie żądają pracy. Ten krzyk rozlega się wzdłuż i wszerz całej Ameryki, głośniejszy nawet od wołania o chleb. Głód nowych idei i zmian zrodził się z tej właśnie żądzy pracy... Nędza amerykańskich bezdomnych i pozbawionych chleba jest niczem wobec tragicznego braku nadziei. Zjawisko to jest powszechne, przerażające i groźne przedewszystkiem u młodych.

...„Należy zmienić kierunek działania. Użyję niewątpliwie paradoksu, gdy powiem, że socjaliści i komuniści amerykańscy powinni zużyć swe siły do budowania, do tworzenia. Jest zbyt wiele ludzi u nas, dla których praca oznacza jedynie zwiększenie stanu posiadania, — zbytkownej bielizny, aut, aparatów radjowych.

...„Trzeba uświadomić rzesze, że każde miasto w Ameryce wymaga przebudowy, że każda budowla nowa przysparza bogactwa, pomijając już fakt, że dwie trzecie naszej ludności mieszka w warunkach gorszych od psiej budy. Osady farmerów bliskie są ruiny. Pracą w kopalniach rządzi zbrodnicze marnotrawstwo. I tak — wszędzie.

...„Pracy! Pracy! Dla wszystkich!" Sądzę, że Amerykanie, opanowani jedynie tą myślą, dokonają swoistej rewolucji. Będzie to zwykłe uprzątnięcie tych, którzy stanowią przegrodę między ludźmi a pracą.

...„Istnieje młodzież robotnicza, żywa i pełna energji, która się buntuje. Każde miasto Ameryki, zapełnione jest krzykiem młodych: „Dajcie nam pracy! Pracy! Przeklęte, bezczynne oczekiwanie odbiera nam wszelką odwagę!"

„Ci ludzie napewno nie orjentują się w kwestjach ekonomicznych. Lecz widzą naocznie zniszczenie naszych dróg żelaznych, nędzę miast i przedmieść, coraz większy brud uliczny, widzą niemożność zakupu przez farmerów nowych narzędzi. Kogóż ten widok nie natchnąłby tragiczną beznadziejnością?

...„O kwestjach, które obejmujemy nazwą „finansowych", mówiłem niedawno z młodym bezrobotnym w postrzępionem ubraniu. Staliśmy na moście kolejowym. Wskazał ręką na szyny: „Czy to są pieniądze? — zapytał. Jeśli czynimy świat zasobniejszym, budując rzecz użyteczną dla dobrobytu człowieka, czyż nie oznacza to tworzenia bogactw? Dlaczego tedy nie opieramy raczej waluty na tem bogactwie całego kraju zamiast na żółtym metalu, schowanym w kilku piwnicach bankierskich? I czy fakt, że stoję tu bezczynnie, bezskutecznie żądając pracy, nie oznacza w rzeczywistości niszczenia bogactwa?"



„POD ANIOŁEM"

Za drucianem ogrodzeniem, tuż koło drogi, stał niewielki, drewniany dom. Na ogrodzeniu wisiał szyld: „Pensjonat „Pod Aniołem". — Pokoje do wynajęcia".

Przed willą rosła samotna sosna. Opodal walało się kilka desek na topniejącym śniegu.

Na progu willi stał jej właściciel Antoni Grypała. Był zaledwie średniego wzrostu, ale tak niezmiernie chudy, że wyglądał raczej na wysokiego. Twarz Grypały przypominała woskową maskę, misternie pooraną w fałdziste bruzdy i napiętnowaną dwiema ceglastemi plamami wypieków. W tej masce pałały chorobliwym blaskiem duże, niebieskie oczy. Czaszka Grypały była łysa. Jedynie na skroniach kleiły się rzadkie kosmyki tłustych włosów nieokreślonego koloru.

Antoni Grypała rozejrzał się po topniejącym śniegu. Kończył się sezon zimowy. Możliwość zdobycia gości topniała razem ze śniegiem.

W willi mieszkał jeden jedyny pan. Płacił 6 zł. dziennie. Za te 6 zł. trzeba było wyżywić nietylko jego, ale — siebie, żonę i troje dorosłych dzieci. Oczywiście — dla gościa gotowało się osobno. Trzeba było mu dogadzać za te jego 6 zł. Dokoła stały wille nawpół, lub całkiem opustoszałe. Konkurencja stawała się tak wielka, jak kryzys w martwym sezonie. O byle co gość mógł przeprowadzić się gdzieindziej.

Antoni Grypała rozejrzał się raz jeszcze, jakby w nadziei stwierdzenia, że śnieg nie topnieje, ale zobaczył tylko malutki pierwiosnek, wychylający białą główkę spod desek koło sosny. Pomiędzy wąskiemi, spieczonemi wargami Grypały prześlizgnął się uśmieszek zupełnie tak, jak płaz prześlizguje się pomiędzy szczelinami głazów. Grypała podszedł do desek, nachylił się z trudem, zerwał pierwiosnek, ułożył go na płasko i starannie rozdeptał nogą, ubraną w kalosz.

Gdy tak miażdżył wątły kwiat — usłyszał skrzypnięcie furtki. Pensjonatowy gość wracał z rannego spaceru na obiad. Grypała pośpieszył otworzyć mu drzwi, pomógł mu zdjąć palto i wprowadził go do stołowego pokoju. „Obiad dla pana!" — krzyknął rozkazodawczo w stronę kuchni. Po chwili Mania, córka Grypały, wniosła zupę na tacy. Antoni usiadł koło młodego człowieka w sportowem ubraniu i zaczął go bawić rozmową. Zachwalał mu słoneczną pogodę i ożywcze powietrze górzystej miejscowości, nieomal z tkliwością wypytywał o zdrowie i samopoczucie. Gość odpowiadał od niechcenia i jadł z apetytem.

Śnieg leżał już tylko na odległych szczytach górskich. Dokoła domów natomiast rosła trawa i otulała coraz to liczniejsze główki kwiatów. Słońce grzało. Powietrze stało się odurzające, jakby rozszalałe wiosną.

W sypialni Grypałów, o szczelnie pozamykanych i zasłoniętych oknach, panował półmrok i zaduch. Antoni leżał w łóżku i wpatrywał się w papierowe, kurzem przypruszone róże, zdobiące ciężkie, złocone ramy oleodruków rozwieszonych na ścianach.

W sąsiednim, stołowym pokoju rozlegały się brzęki szkła i dźwięki gramofonu. Była godzina czwarta — gość jadł podwieczorek. Grypała wstrzymał oddech, żeby lepiej podsłuchać rozmowę. Poprzez takty fox-trotta dobiegły go słowa córki. Mówiła: „Ojca niema. Wyjechał na parę dni w sprawach podatkowych". Grypała poczuł ulgę. Pomyślał sobie, że córka dobrze robi, nakręcając gramofon. To roz-

prasza ponurą atmosferę i zagłusza wszelkie szmery, jakieby mogły dobiegać z jego pokoju. W ten sposób gość niczego nie może się domyśleć. Niema przynajmniej obawy, że wypłoszy go strach przed chorobą.

Przeciągnął się na łóżku i znów spojrzał na papierowe kwiaty. Żeby były żywe, nigdyby nie zniósł ich w pokoju. Papierowe mniej go drażniły. Wyglądały, jak żałosne trupy. To sprawiało Grypale rozkosz. Zresztą — żona uparła się przy tych kwiatach. Ostatecznie — musiał pamiętać, że swego czasu „wżenił się" w pensjonacik zamożnej gaździny. Czasami trzeba więc było jej ustąpić.

Choć papierowe i dalekie od pierwowzoru — kwiaty łapały w swój obmierzły uchwyt i wlokły w przeklęte dzieciństwo. Ojciec Antoniego był stróżem domu, leżącego na peryferjach fabrycznego miasta. Ożenił się, mając lat czterdzieści parę. Wkrótce po ślubie na świat przyszedł on — Antoni. Początkowo stary się podobno cieszył i wszystko było dobrze. Złym trafem — po latach — usłyszał, jak służące domowe wyśmiewały się z niego i mówiły o nim: „Ten głupi rogal".

Od tego się wszystko zaczęło. Gdy żona wróciła do domu — stary podszedł do niej jakimś kocim, skradającym się krokiem, złapał ją za ramiona, rzucił na łóżko i zaczął bić uparcie, miarowo, prawie rytmicznie, zupełnie tak, jak się młóci zboże. Kobieta wtuliła głowę w poduszki i zanosiła się jakiemś strasznem wyciem. Antoni pamiętał, jak wcisnął się w kąt stróżówki i patrzył. Zdawało mu się nawet, że dotąd widzi swoje własne, szeroko rozwarte oczy sześcioletniego dziecka.

W sąsiednim pokoju gramofon jęczał „Ramonę". Gość musiał już być po podwieczorku, ale jeszcze zostawał w stołowym, pewno, żeby pogadać z Manią. Od przyjazdu wodził za nią oczami.

Nazajutrz po obiciu matki — ojciec po raz pierwszy w życiu przyniósł do stróżówki koszyk kwiatów. Mały Antoś kucnął koło lekko przywiędłych chryzantemów i wkręcił palec w ich wąskie, wijące się płatki tak samo, jak wkręcał go w swoje długie, wijące się, przeważnie brudne włosy. Stary wrzasnął: „Nie rusz!" — i boleśnie uderzył go po ręku.

Antoni zbliżył swoją rękę do oczu i zaczął się jej przyglądać w półmroku sypialni. Była koścista, żółta, nabrzmiała żyłami.

Chryzantemy również bywają żółte i miewają na płatkach żyłeczki. Napatrzył się im, napatrzył. Pamiętał, jak ojciec związał pięć pęków po cztery kwiaty w każdym, wetknął je dziecku w ramiona i kazał mu iść na ulicę. Przytem zabronił ruszyć się krokiem z wyznaczonego miejsca. Słońce rozpalało mury i bruki, z jezdni unosił się kurz. Unosił się zresztą i z chodnika, po którym nieustannie przesuwały się ludzkie nogi. Sześcioletni chłopczyk stał oparty o ścianę i powtarzał monotonnym głosem: „Kwiaty sprzedaję, kwiaty..."

W sąsiednim pokoju gramofon kwilił miłośnie: „Kobiety są jak kwiaty"...

Małego mijali ludzie. Czasami tylko jakaś babina w chustce, lub paniusia w kapeluszu, przystawała na chwilę, oglądała pęk kwiatów, pytała o cenę, kiwała głową, że drogo, odchodziła parę kroków, wracała znowu i wkońcu kupowała jeden, jedyny pęczek za parę groszy. I znów ludzie przechodzili pośpiesznie, obojętnie. I tak było aż do nocy, która wybawiała od stania na ulicy, ale zato pchała w czeluść ojcowskiej stróżówki.

Gdy chłopak wracał z ulicy — matki prawie nigdy nie było w domu. Od owego fatalnego dnia chodziła bądź na posługi, bądź do prania i wracała dopiero koło północy. Chłopca torturował głód. Wiedział dobrze, gdzie matka kładzie jedzenie, które szykowała co rano dla męża i dla dziecka, ale nienawistny wzrok ojca paraliżował jego ruchy. To było silniejsze, niż głód. Ilekroć mały wracał z pękami uwiędłych kwiatów, ojciec syczał przez zaciśnięte zęby: „Znów cholero odnosisz kwiaty! Bękart przeklęty! Darmozjad! Sk....syn!". Sześcioletni Antoś słuchał w milczeniu znajomych, a niezrozumiałych słów ojcowskich i cichutko kładł się na łóżko, gdzie czekał powrotu matki, udając, że śpi. Spod przymrużonych powiek patrzał na chorobliwie złowrogą twarz ojcowską i powstrzymywał się całą siłą od kaszlu, który chwytał go coraz częściej. Nie zawsze jednak udawało mu się powstrzymać.

W stołowym pokoju gramofon grał prawie bez przerwy. Grypała zaryzykował odkaszlnąć, kryjąc głowę w poduszki. Do ust napłynęła mu przytem gęsta, lepka ciecz. Ostrożnie wydobył naczynie z pod łóżka. Ręce mu drżały, jednak o nic nie zawadził, nie stuknął. Splunął obficie krwią. Krew wolno rozlała się po wodzie naczynia i nabrała kształtu płaskiej, czerwonej róży.

Grypała poczuł, że robi mu się lekko, prawie błogo. Położył się nawznak. Chciał spać. Zamknął oczy. Wówczas zaczęła na niego następować nawałnica kwiatów, które sprzedawał przez całe swoje przeklęte dzieciństwo. Były wszystkie. Bratki stroszyły swoje malowane wąsy i zdawały się naśmiewać. Przebrzydłe chabry siwiały w oczach i nikt już nie chciał ich kupować. Maki wyglądały jak skrwawione, zmięte szmaty. Róże płaszczyły się, podobne do splunięte krwi. Chryzantemy wyciągały wąskie, wijące się, polipie macki. Uraz z lat dziecinnych wstawał w całej potędze, olbrzymiał, dławił. Kwiaty mnożyły się jak robactwo. Nadchodziły wrogie, nieodparte, pchały w czeluść obłędu, w bezdeń.

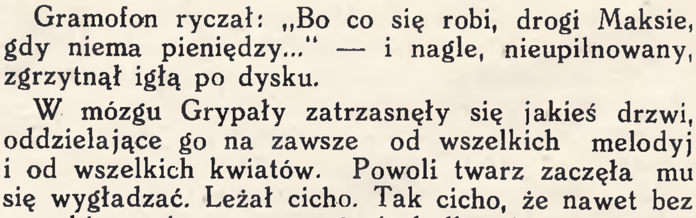
W stołowym pokoju rozległy się suwane kroki. Gość tańczył z Marysią. Słychać było ich śmiechy lekko schrypnięte przez nadmierną bliskość ciał.

Szarańcza barwnych płatków nacierała już na same oczy Grypały. Szeroko otworzył usta i złapał powietrze, ale nie krzyknął.

Gramofon ryczał: „Bo co się robi, drogi Maksie, gdy niema pieniędzy..." — i nagle, nieupilnowany, zgrzytnął igłą po dysku.

W mózgu Grypały zatrzasnęły się jakieś drzwi, oddzielające go na zawsze od wszelkich melodyj i od wszelkich kwiatów. Powoli twarz zaczęła mu się wygładzać. Leżał cicho. Tak cicho, że nawet bez muzyki pensjonatowy gość nie byłby się niczego domyślił.

Marja Milkiewiczowa



DROGI ROZWOJU FILMU DŹWIĘKOWEGO*)

Mija pięć lat od chwili, w której zagadało i rozkrzyczało się nieme widowisko filmowe. Rewolucja przyjęta naogół nieprzyjaźnie. Właściciele kin stanęli wobec konieczności instalowania kosztownych aparatów, producenci zmuszeni zostali do inwestycyj w halach zdjęciowych i laboratorjach. Krytyka nie umiała wytłumaczyć procesu raptownej śmierci sztuki filmowej. Reżyserów zamknięto w izolowanych akustycznie dekoracjach, aparat do zdjęć umieszczono w ciężkiej nieruchomej klatce, aktorowi kazano mówić, śpiewać i inscenizowano długie sceny, całe skecze, akty i epizody jednym ciągiem. Wszystko to stało się dlatego, że potentaci filmowi z za oceanu uznali, iż dla ich biznesu, dla nowego poruszenia zblazowanej przez nieme emocje gawiedzi, będzie rzeczą właściwą, źródłem nowych wielozerowych cyfr w budżecie demonstrowanie cudu, że cień ruszający ustami potrafi również wydawać realny głos. Rewolucja, jak to zwykle rewolucja, rozpoczęła od burzenia i niszczenia, aby w parę lat potem nawrócić do wielu zburzonych form, wskrzesić wiele potępionych prawd estetycznych i kontynuować dawną linję artystyczną.

W filmie sztuka jest trzecim dopiero czynnikiem składowym po przemyśle, który filmem kieruje i traktuje go jako jeden z najpewniejszych w ciężkim czasie interesów, i po technice, która idzie przemysłowi na rękę komplikując wciąż i udoskonalając istotę kinowego wynalazku. Nie można przeto zarzucać artystom filmowcom, że zaprzepaścili w pierwszych latach nowego porządku wszystkie zdobycze filmu niemego. Nie pracowali przecie dla siebie ani na swojem. Protestowali, drukowali artykuły, ankiety, rozwijali teorje, ale ekran kpił sobie z nich. Gdakał i kwiczał, a co najwspanialsze kwiczał synchronicznie. Al Jolson otwierał na zbliżeniu czarną gębę i jednocześnie — idealnie jednocześnie — rozlegał się z głośników zniekształcony głos. Synchronizm stał się najważniejszą bolączką i jednem zagadnieniem formalnem nowego widowiska. Po jakimś czasie minęła narkoza tłumów, świadomość, że nowe widowisko stało się tylko cyrkiem techniki, przemogła i znowu doszli do głosu artyści, tym razem nie protestując już, lecz budując nową, uzupełnioną sztukę.

Rozważania dotyczące zagadnień estetycznych filmu dźwiękowego mogą iść w dwóch kierunkach. Przedewszystkiem należy zdać sobie wyraźnie sprawę ze spuścizny zostawionej przez film niemy, z tych zasadniczych elementów, które niemą sztukę filmową tworzyły i wyróżniały, aby móc zrozumieć istotę filmowego ujmowania zjawisk i w sposób konsekwentny ocenić teoretyczne możliwości nowego składnika tej samej sztuki — dźwięku. Po przeprowadzeniu tej zasadniczej linji rozwojowej, w której niema sztuka filmowa traktowana jest tylko jako wstęp do sztuki filmowej dźwiękowej, należy rozważyć, w jakim stopniu rzeczywistość sprawdziła te przewidywania i jaką drogą poszło kształtowanie się nowego widowiska.

Ujmowanie filmu niemego i dźwiękowego, jako dwu różnych przejawów tej samej metody wyrażania się, możliwe jest jedynie na tle syntetycznej koncepcji filmu. Teoretycznie jest filmem wszystko, co przez odpowiednie usegregowaną reprodukcję zdarzeń zmysłowych w czasie wyrazić ma czyjąś świadomą myśl. Fragmenty doznań zmysłowych (najpierw optycznych, a potem i dźwiękowych) układa się według celowego porządku, buduje się z nich zamknięte całości reprezentujące myśl, uczucie, lub reprodukujące rzeczywistą sytuację. Teatr realistyczny w podobny sposób urzeczywistniał swoją misję, ale nie mógł rzeczywistości montować, gdyż podawał jedynie przestrzeń sceny i czas trwania aktu. Objektyw wyzwolił widowisko od przestrzeni scenicznej. Umożliwił niemal nieograniczoną elastyczność tej przestrzeni. Tematem widowiska stało się wszystko — sceną mogła być równie dobrze kropla wody, jak i wszechświat. Montaż wyzwolił widowisko od czasu scenicznego. W obrębie jednego zjawiska czas jest jednostajny, (mimo, że zdjęcia trickowe mogą ten czas przyśpieszać lub zwalniać), ale już połączenie szeregu zjawisk okazało się zwycięstwem nad czasem. Odtąd sprawy widowiska mogły się toczyć na przestrzeni sekundy lub wieku. Czas mógł przebiegać naprzód lub wstecz. Powstał specyficzny czas filmowy, jak i specyficzna przestrzeń. Widowisko stało się również kopalnią znaczeń. Rozbite na atomy scen optycznych upodobniło się do zbioru wzajemnie dopełniających się słów. Poza treścią sceny powstała treść skojarzenia sceny. Powstał montaż, jako właściwa forma wyrażania filmowego. Widowisko zaczęło być czemś więcej niż sztuką, inscenizacja przestała być jego konieczną cechą. Sposób wyrażania się filmowego zaczęli wykorzystywać nietylko artyści. Formę filmową nadano również propagandzie, nauce i t. d. Dlatego też właściwem będzie nazwać to nowe, uzupełnione i syntetyczne widowisko nowym sposobem wyrażania się, jakby nowym językiem.

Wszystkie te cechy ukształtowały się na płaszczyźnie wrażeń optycznych. Jednakże wydaje się rzeczą prostą, że dźwięk, będąc równoznacznem zjawiskiem do obrazu, mimo, że gra rolę w doznaniach zmysłowych drugorzędną, stać się powinien uzupełnieniem możliwości wyrażania się, przyczyną wzbogacenia słownika filmowego, powinien udoskonalić montaż i pogłębić możliwości konstrukcyjne filmu. Tembardziej, że dźwięk przybrał ostatecznie zewnętrzną postać zbliżoną do obrazu, postać filmowej taśmy, którą można dowolnie ciąć i sklejać. Oczywiście sam charakter doznań głosowych przeznaczył montażowi i metodzie wyrażania głosem nieco inne możliwości. Ucho jest znacznie mniej czułym aparatem niż oko. Wzrok jest podstawą naszego wyobrażenia o świecie, dźwięk towarzyszy tylko zjawiskom ruchu. Wszystkie rzeczy są widzialne, ale słyszalne są tylko zdarzenia. Obraz dociera do świadomości w mgnieniu oka, droga dźwięku jest dłuższa. Tem samem obraz więcej mówi niż głos. Obraz, choć dwuwymiarowy, daje nam poczucie przestrzeni. Głos jest nieomal pozbawiony wszelkiego charakteru przestrzennego, z trudnością

---

*) Referat wygłoszony w Kole Polonistów Uniwersytetu Warszawskiego z ramienia Stowarzyszenia Miłośników Filmu Artystycznego „Start".

oceniamy kierunek głosu i jego odległość. To też montaż głosu nie może mieć tak błyskawicznego charakteru, jak montaż obrazu. Scena dźwiękowa, jako mniej plastyczna i trudniej zrozumiała (poza wypadkiem głosu ludzkiego) musi być siłą rzeczy zjawiskiem dłuższem niż ilustrujący ją obraz. Dlatego też film uzupełniony związanym z jego sensem dźwiękiem będzie się zawsze składać z mniejszej ilości odcinków dźwięku, niż odcinków obrazu. Jednem słowem montaż dźwięku będzie zjawiskiem wtórnem i prostszem, dotąd oczywiście, dopóki ucho, tak jak to się stało już z okiem, nie nauczy się słuchać dzięki filmowi, dopóki głos nie stanie się kopalnią nowych znaczeń i umówionych symbolów.

Związek głosu z obrazem, najważniejsze zagadnienie nowego filmowego montażu, może być rozumiany dwojako. Dźwięk wkroczy do kina jako synchroniczne uzupełnienie obrazu. Ta pierwsza koncepcja rozumie jedynie ten dźwięk, jaki demonstrowanemu obrazowi z natury rzeczy powinien towarzyszyć. Słychać wszystko i obraz musi być tak pomyślany, aby dawał powody do słyszenia. Założenie krzywdzące dla obrazu, gdyż ma on sam z siebie większą rację bytu od swego głosu. Oto najistotniejsza niedomoga „stoprocentowości", i manja synchronicznego głosu, który staje się elementem niesprawiedliwie wywyższonym. Sceny stoprocentowe mogą być źródłem potężnych wzruszeń estetycznych, o ile jedynym ich celem jest realizm zjawiska. Poezja filmowa wymaga czego innego, — wiązania obrazu z głosem drogą nietylko logiki, lecz i uczuciowego dopełniania. Ta metoda nazywa się montażem niezbieżnym, zaczątki jej tkwią jeszcze w niemem widowisku filmowem, kiedy obrazom towarzyszyła doraźnie synchronizowana ilustracja muzyczna, akcentująca i narzucająca widzowi pewne tło uczuciowe. Dwojakość ujęcia filmu dźwiękowego — to znaczy z jednej strony tak zwany film stoprocentowy, z drugiej film niemy uzupełniony dźwiękiem, nazwijmy go filmem syntetycznym — oto dwie zasadnicze drogi rozwoju filmu dźwiękowego. Pierwsza droga jest nawrotem do form teatralnych — podąża nią Ameryka, drugi kierunek powstał w Europie i Rosji i jest właściwem kontynuowaniem niemego filmu. W pierwszym wypadku tworzywem są zdarzenia świetlno-głosowe, ujęte w ramy realnego czasu i realnej przestrzeni scenicznej (jak w teatrze), w drugim wypadku tworzywem jest osobno obraz (jak w niemem kinie) — osobno głos, bynajmniej czasowo czy przestrzennie z obrazem niezwiązany. Głos w filmie stuprocentowym jest treścią sceny, obraz dekoracją dla głosu. Stąd oczywiście dyktatura djalogów. W filmie syntetycznym treść jest nierozłącznie związana z obrazem i głosem jednocześnie, wynika z ich kojarzenia, z zestawień, z wewnętrznego montażu.

(dok. nast.) *Eugenjusz Cękalski*

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Zamierają jednocześnie duże wielkie machiny międzynarodowe, które miały sprowadzić spokój i pomyślność na udręczone narody ziemi: konferencja rozbrojeniowa w Genewie i gospodarcza w Londynie. O tej londyńskiej mówi się teraz, że była zupełnie nieprzygotowana, że zwołano ją o pół roku zawcześnie i t. p. Takie tłomaczenie niepowodzeń tej wielkiej narady delegatów 67 państw jest równie obłudne, jak niemiecka opozycja przeciw przerwaniu konferencji rozbrojeniowej. Przecież, gdy prezydent Roosevelt, zamorski ojciec konferencji zasiadającej w Muzeum Geologicznem w Londynie, wzywał do siebie szefów wielkich mocarstw europejskich na narady do Białego Domu, wszyscy rozumieli, że to właśnie jest przygotowanie do konferencji londyńskiej. W jednym z komunikatów oficjalnych nawet zaznaczono wówczas, że nie ogłasza się żadnych uchwał narad waszyngtońskich, bo przygotowano tam tylko materjał dla narad londyńskich i za to obrady w Londynie potoczą się wartko, stanowiąc tylko publiczną formę powzięcia przygotowanych, obmyślonych i ułożonych zawczasu decyzji.

Nie trzeba chyba podkreślać, jak dalece rzeczywistość niczem nie potwierdza tego komunikatu: skłócone tendencje, wszelki brak wytycznych, gadanina, bezsilność wobec realnych zagadnień — oto jedyne jak dotąd cechy narad londyńskich.

Znany ekonomista faszystowski Alberto de Stefani w *„Coriere della Sera"* zamieścił następujące słuszne uwagi:

— Konferencja londyńska nie rozwinie się bardzo szybko. Będzie ona ciągnąć się do połowy lata. Może odroczy się ją, żeby potem wznowić. A świat będzie usiłował po za nią odnaleźć swoją równowagę dzięki siłom żywiołowym zawsze istniejącym."

Tak mówi sceptycyzm faszystowski. A oto z drugiej strony odzywa się publicysta sowiecki, Karol Radek, na łamach *„Prawdy"*, ze złośliwym uśmiechem wykłada rzeczowo, dlaczego skłócone siły głównych czynników działających nie mogą dojść do żadnego ładu i składu w Londynie.

W. Brytanja złożyła w ofierze swój parytet złoty, aby z pomocą dumpingu wygrać walkę. Stany Zjednoczone odpowiedziały tem samem i oto teraz obie strony gotowe były poprzeć stabilizację walut, ale chodzi o to, komu uda się stabilizować swoją walutę niżej, aby mieć pewien plus w stosunku do współzawodnika.

Japonja i Niemcy — pisze Radek — to ze stanowiska ekonomicznego dwa słabsze stosunkowo ogniwa światowego systemu imperjalistycznego. Mogą więc one wszystko stracić w razie, gdyby udało się uregulować walkę ekonomiczną."

Nie cytuję dalej, bo to jest rzecz istotna: w układach biorą udział uczestnicy, którym zależy na utrzymaniu chaosu i walki, bo tylko w tych warunkach mogą urzeczywistnić swoje plany, lub trzymać się na powierzchni pomimo braku wszelkiego planu.

W tych warunkach konferencje krystalizują przeciwieństwa i to jest chyba jedyna ich rola dodatnia, o ile jej nie zaciemnia język dyplomatyczny, usiłując te przeciwieństwa owinąć w watę formuł i raportów.

**
*

Zwycięski Hitler rozdaje na prawo i na lewo wywiady o tem, że zlikwidował socjal - demokrację raz na zawsze, przepowiada, że gdyby teraz odbyły się wybory w Niemczech, hitlerowcy zabraliby conajmniej 75% głosów. Ta skromność jest doprawdy wzruszająca: mogli by przecież zebrać nawet 105% głosów, a w razie gdyby było inaczej, mogliby unieważnić wszystkie wrogie mandaty. Zapewnianie tylokrotne, że socjalizm nie istnieje, zdradza, że zapewniający sam w to nie wierzy.

Po paru miesiącach prób, nieraz bardzo przykrych, przystosowania się do regime'u, socjal - demokraci niemieccy przenieśli się na emigrację: w Czechosłowacji, w Zagłębiu Saary, wychodzą *„Vorwärts"* i *„Deutsche Freiheit"*. Ci,

z pośród przywódców, którzy, jak Loebe, wyrzekli się współpracy z emigracją, nie uratowali się od fali represji; albo więzienie, albo całkowita rezygnacja z pracy w kraju — oto jedyny dylemat, jaki im pozostawiono.

A władza hitlerowska, pomimo swojej wszechmocy, czuje się wciąż zagrożona. Nie wiedzieć skąd węszy spiski i wrogów: pasterze ewangeliccy i księża katolicy, stahlhelmowcy i ludowcy bawarscy — wszystko to wrogi, które czyhają na władzę. Wszyscy też idą do więzień i obozów koncentracyjnych. I pomimo to... rząd niema spokoju. Z pod ziemi ukazuje się *„Die Rote Fahne"* w 300.000 egzemplarzach i *„Junge Garde"*, organ młodzieży komunistycznej.

Czerwcowy numer *„Rote Fahne"* tropionej bezskutecznie przez tysiące agentów Hitlera pisze w artykule wstępnym:

— Setki tysięcy zwolenników Hitlera stawia sobie dziś zapytanie: cóż przyniósł Hitler? Pod względem ekonomicznym rządzi ten sam wyzysk kapitalistyczny, co przed Hitlerem, sytuacja mas ludowych jest jeszcze gorsza, niż przedtem. Włościaństwo i klasy średnie czekają jeszcze na jakąś poprawę ale klasa robotnicza czuje już pogorszenie wskutek drożyzny.

O wywłaszczeniu bankierów i giełdziarzy niema mowy. A to właśnie przyrzekał Hitler. Obiecywał zniweczenie trustów, ale nawet nie myśli o tem... Cztery miesiące reżimu hitlerowskiego kończy się bankructwem politycznem całkowitem."

**
*

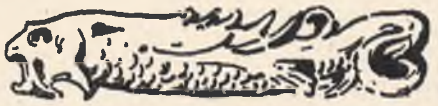
Jak niebezpiecznym instrumentem okazał się pakt 4-ch, choć formalnie jeszcze nie wszedł w życie, przekonały się o tem państwa Małej Entente'y.

Zgodziły się one po otrzymaniu wyjaśnień francuskich na tekst parafowany w Rzymie, sądząc że przez zastrzeżenia w swoim czasie sformułowane, zdołały obronić się od złych następstw tego dokumentu. A tymczasem pierwsze zagadnienie po parafowaniu paktu, omawiane przez dyplomację wielkich mocarstw — to restytucja unji Austrjo - Węgier z przywróceniem monarchji Habsburgów. Wprawdzie p. Benesz mówi, że do tych projektów nie należy przywiązywać wagi, wprawdzie i obecny rząd węgierski nie ma żadnej słabości do Habsburgów, ale kwestja jest postawiona i o przywraniu gruzów, na których wyrosły nowe państwa powojenne, mówi się w ciszy gabinetów dyplomatycznych. Król austro - węgierski wydaje się tam niektórym lekarstwem na troski i bóle Europy środkowej, przeciwwagą spokoju na hitlerowski niepokój. Jest to jeszcze jedno z niebezpiecznych złudzeń dyplomacji, nie mogącej zrozumieć wymowy wydarzeń dziejowych.

Istniejące zagadnienie węgierskie nie da się rozstrzygnąć przez powołanie króla, a na wstrząśnienie hitlerowskie odpowiedź dać mogą tylko żywe siły społeczne świata.

Siły te budzą się i rolę swą odegrają pomimo przekonania wielu, że to, co dziś jest decydujące, zapewnia trwałą przyszłość.

St. Gr.



PATRJOTYZM GOSPODARCZY

RWD — trzy magiczne litery, które są chlubą naszego przemysłu lotniczego. Już dzisiaj każdy obywatel Rzplitej, gdy mowa o samolotach, mówi:

— Samoloty? Ależ my produkujemy świetne maszyny, bijące obcą produkcję.

W ten sposób oto uczymy się patrjotyzmu gospodarczego, który do niedawna nieszczególnem się cieszył powodzeniem. A inne narody dawno się tego nauczyły. Anglik, Francuz, Niemiec, Włoch —zawsze oddaje pierwszeństwo swoim towarom. U nas pokutuje jeszcze duch, który Słowacki określił słowami: „Pawiem narodów jesteś i papugą".

Nigdzie chyba nie zakorzenił się tak dalece przykry i podły obyczaj palenia przemyconych wyrobów tytoniowych. Inne narody — choćby Francja —posiadają i droższe i gorsze papierosy, czy tytonie. U nas natomiast znajdzie się jeszcze tu i ówdzie półgłówek, który zapłaci sporo grosza za obce papierosy i roztkliwia się — ach! Angielskie — albo co gorzej — niemieckie.

Proszę bardzo! Niech pan idzie do pierwszej z brzega budki z papierosami i za te same pieniądze kupi krajowe papierosy. Proszę porównać. Ale niemożna porównywać polskiego papierosa za dwa grosze z niemieckim za dziesięć fenigów, bo wówczas ten niemiecki kosztuje dziesięć razy więcej. Więcej patrjotyzmu gospodarczego!

KSIĄŻKI NADESŁANE

Magdalena Samozwaniec: O dowcipnym mężu dobrej Ludwiki. Tow. Wydaw. „Rój", Warszawa, 1933.

Vicki Baum: Zdarzenie w Lohwinckel. Przekład Marji Zawadzkiej. Tow. Wydaw. „Rój". Warszawa, 1933.

Witold Gombrowicz: Pamiętnik z okresu dojrzewania. Tow. Wydaw. „Rój". Warszawa, 1933.

Szalom Asz: Matka. Tow. Wydawn. „Rój". Warszawa, 1933.

Radclyffe Hall: Źródło samotności, Przedmową opatrzyła Irena Krzywicka. Tow. Wydaw. „Rój". Warszawa, 1933.

Dr. Charlotta Bühler: Dziecięctwo i młodość. Geneza świadomości. Przekład Wandy Ptaszyńskiej. Nakładem „Naszej księgarni" Związku Nauczycielstwa Polskiego. Warszawa, 1933.

Jeffery Farnol: Wielka przygoda. Powieść. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Warszawa, 1933.

Stefan Zweig: Freud. Przekład Melanji Wasermanówny. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Warszawa, 1933.

Jeffery Farnol: Nieustająca tajemnica. Powieść. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Warszawa, 1933.

Mieczysław Jastruń: Inna młodość. Poezje. F. Hoesick. Warszawa, 1933.

D. H. Lawrence: Kochanek Lady Chatterley. 2 tomy. Przekład Marcelego Tarnowskiego. Nakładem księgarni M. Fruchtmana. Warszawa, 1933.

Theodor Plivier: Cesarz odszedł, generałowie zostali. Przekład Tadeusza Błudowskiego. Nakładem księgarni M. Fruchtmana. Warszawa, 1933.

Lew Trocki: Historja rewolucji rosyjskiej. Nakładem spółki wydawniczej „Bibljon". Warszawa, 1933.

Lion Feuchtwanger: Wojna żydowska. Powieść. Przekład Leo Belmonta. Nakładem księgarni M. Fruchtmana. Warszawa, 1933.

Świat i Życie: Zarys encyklopedyczny współczesnej wiedzy i kultury. Zeszyt 6. Książnica Atlas. Lwów - Warszawa, 1933.

Od administracji

Przypominamy Sz. Czytelnikom, że czas odnowić prenumeratę na 3-ci kwartał 1933 r. Czytelnicy, którzy nadeślą przedpłatę, unikną przerwy w otrzymywaniu pisma.

Prenumerata kwartalna — zł. 6 (Konto P.K.O. Nr. 26.630.)





TREŚĆ NUMERU

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Z.-436 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3.